

JAN LEMAŃSKI.

BAJKI O ZWIERZĘTACH



4207

„ZŁOTA BIBLIOTEKA“ Nr. 17.

E. WENDE I SPÓŁKA, WARSZAWA.

WE LWOWIE H. ALTENBERG, G. SEYFFARTH,

E. WENDE I SPÓŁKA.

WYDAWCA

WYDAWCA

Geprüft und freigegeben durch die Kais. Deutsche
Presseabteilung Warschau, den 27, X, 1916, T. № 3242, Dr. № 203.



Druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów
w Warszawie.



Lisy na dworze królewskim.

*Dawno już to było, nie wczora, ni dzisiaj,
Żyła sobie w lesie raz rodzina lisia:*

*Ojciec, matka, synów pięć i córek pięć,
Wiedzieć ich nazwiska pewno czujesz chęć.*

*A więc: herb rodowy ojciec miał Filuta,
Matki było imię — Zła, panięskie — Luta.*

A następujące nazwy miała młodź:

*Bacz, Czuj, Węsz, Gryź, Drap, Kłam, Mań,
[Zwódź i Łudź.*

*Rodzina, mająca podobne imiona,
Nie wątpię, iż była dostatnio karmiona.*

*Wszelką obfitował żywnością ten bór,
Lecz nie było gości w nim, kaczek, ni kur.*

*Więc w rodzinie lisiej żyła chęć zajadła
Skosztować koniecznie też i tego jadła.*

*Radzą lisy, radzą. Ojciec przeciął spór:
Trzeba — mówi — jechać na królewski dwór.*

*Choć i my — powiada — jemy tu zamożnie,
Lecz sam król drób jada pieczony na rożnie.*

*O tem się do boru ta przedziera wieść,
Że go nożem i widelcem trzeba jeść.*

*W borze, gdzie nieznanne rożny i patelnie,
Choć się jada syto, lecz nie tak subtelnie.*

*Słyszac to, dzieciarnia skomle: co chcesz, rób,
Musimy tam jechać na pieczony drób.*

*Jechać? Ale w lisiej skórze król nas pozna
I zaaresztuje. Nie, nie, tak nie można.*

*Aby nie spotkała nas u króla śmierć,
Trzeba czemś przyodziać naszą lisią sierć.*

*Zmaskować pazury i ogon puszący
Odzieżą. Lecz w borze skąd zadobyć szaty?*

*Człowiek by się pewnie tym kłopotem gryzł,
Lecz na wszystko znajdzie sposób chytry lis.*

*W borze, a ten bór (jeśli kto zapyta)
Była wielka, wielka knieja nieprzebyta,*



*Żyją czarownicy wśród podobnych kniej,
Więc czarownik taki jeden żył i w niej.*

*Znał on czarnoksiężskie i magiczne siły,
Do niego się lisy z petycją zgłosiły.*

*Czarodzieju miły, mówią, co chcesz, rób,
Musimy pojechać do króla po drób.*

*Na to im czarodziej mówi: uważacie,
Daję wam tu panom każdemu po szacie.*

*Z tyłu jest na ogon kłapa, z przodu brak,
To jest strój galowy, nazywa się frak.*

*Pazury skryjcie w białe rękawiczki
A u dołu w lakierowane trzewiczki.*

*Dla zamaskowania waszych lisich głów —
CHAPEAU I CLAQUE (wyras z dwóch
[francuskich słów).*

*To dla panów. A dla żeńskich lisiczek
Nie uciskający, bez brykli gorsiczek;*

*W nim najuprzejmieszczą można przybrać z póź,
Jak etykietalny nakazuje mus.*

*A na to sukienka, kształt damskiej urody
Uwydatniająca: kłękajcie narody.*

*Same tu atlasy, tiule i jedwabie,
Olśnicie królewski dwór przy ich powabie.*

*Choć i tak powabne są lisie panienki,
Ale nie zaszkodzą wam ładne sukienki.*

*Ostatnia kreacya na paryski wzór.
Możecie pojechać do króla na dwór.*

*Poszły lisy, przyszły na dworskie pokoje.
I co?... Wnet ciekawość waszą zaspokoję.*

*Wiem, że się niejeden z was tem będzie gryzł,
Jak sobie postąpi jeden z drugim lis.*



*Otóż, moi państwo, lisy, dzięki frakom,
Nie ustępowały nic innym dworakom.*

*Jakby się od dziecka tych uczyły ról,
Farbowanych lisów nie rozpoznał król.*

*I ponieważ właśnie była pora śniadać,
Najuprzejmiej prosi dwór do stołu siadać.*



*Posiadały sobie lisy, przy nich liszki,
Oglądają serwis, talerze, kieliszki.*

*Wszystko dla nich nowe: fajans, srebro, szkło.
I z początku wszystko najspokojniej szło.*



*Nie ciągnęło ich ku wódce i rzodkiewce,
Powiedziały „merci“, dziękuję, lub: nie chce!*

*Ale gdy zapachniał im smażony drób,
Wytrzymać nie mogły lisy takich prób.*

*Zamiast wziąć za noże i widelce,
Postąpili wbrew zwyczajom dworskim wielce.*

*Jeli pazurami z łapczywością jeść,
Co widząc, król woła: a niechże ich sześć!*

*Nie mają pojęcia nic o etykiecie!
I tacy chcą drób jeść na moim bankiecie!
Jeść drób pazurami niesłychana rzecz!
Podstoli! Weź, zaraz wygnaj mi ich precz!
Widząc lisy, że tu można dostać w skórę —
W nogi (każdy porwał wprzód ze stołu kure),
A za nimi w pogoń rozjuszona straż,
Wołając: a łapże ich, a bijże, praż!
A gdy ten i ów ze straży na koń wlażł,
Schowały się lisy już oddawna w las.
Co dalej? Nic. Koniec wszystkiemu być musi.
Bierzcie wzór nie z lisów, jak jeść, lecz z mamusi.
Nie jedzcie palcami, bo tak jada gbur,
Którego wychował tak, jak lisa, bór.
I nie oszukujcie kłamanym pozorem:
Mamusia niech będzie waszym życia wzorem.
Jeżeli będziecie żyli na jej wzór,
Sam król was zaprosi na swój dwór.*





KOT I MYSZ.

(BAJKA ARABSKA).

Pewien kot wracał z nocnego polowania, które mu się nie udało. Ziębnięty był i przemokły, ponieważ tej nocy padał deszcz. Wracając, rozmyślał, w jakiby tu sposób coś dobyć, gdy w tem ujrzał pod drzewem mysia jamę. Zbliżył się do niej, zagląda, bada, aż zmiarkował, że tam siedzi mysz, a jeżeli tak, to trzeba ją dostać.

Mysz, zwęszywszy kota, zaczęła pracować łapkami, ażeby jamę zatkać. Co widząc, kot przybrał głos zboląły i rzekł:

— Dlaczego to czynisz, mój bracie, gdy widzisz, że pragnę się u ciebie schronić, ufając w twoje miłosierdzie, które mi nie zechce odmówić przytułku na noc. Słaby jestem i wskutek podeszłych lat i upadku sił ledwie że się ruszam. Przywlokłem się tu do ogrodu, wzywając śmierci, bo pragnę raz nareszcie zaznać ukojenia! U drzwi twoich oto leżę, zziębnięty i zmokły. Na miłość Boską, schwyć mię za łapę i wciągnij do swej nory, abym nieco odpoczął i wydobrażał. Jestem biedny i obcy, a powiedziano jest, że kto w dom przyjmie ubogiego i obcego, ten osiągnie raj, gdy nastanie sąd ostateczny. I ty też, mój bracie, dostąpisz tej nagrody, jeżeli mi dasz gościnę. Przenocujesz mię, a potem pójdę swoją drogą i koniec. No cóż?

Ale mysz odpowiedziała:

— Jakże to, kocie: chcesz wejść do mojego gniazda, a przecież ty jesteś moim wrogiem i żyjesz z mojego mięsa? Lękam się od ciebie zdrady, bo znają cię z wiarołomstwa. I powiedziano jest

także: nie powierzaj żebrakowi majątku i ogniovi drzewa. A przeto i mnie nie przystoi powierzać się tobie, ile że wiadomo jest, że wrogość pochodzi z natury i tem jest silniejsza, im słabszy wróg.

Na to kot odpowiedział myszy głosem umierającym, jakby już wydawał ostatnie tchnienie:

— Tak, nie zaprzeczam, że wszystkie te nauki, które mi przytaczasz, piękne są i wcale ich nie neguję; ale co do tej mniemanej wrogości naturalnej, pomiędzy nami, to daruj, ale przepraszam. Bo powiedziano jest również: Kto przebaczy swemu bliźniemu stworzeniu, dla tego i Stwórca będzie miał przebaczenie. Jakkolwiek byłem dotąd twoim wrogiem, ale dziś stoję tu oto i błagam cię o przyjaźń. A powiedziano też jest: ma li twój wróg być ci przyjacielem, to wyświadcz mu dobro. O, mój bracie, dalibóg święcie przysięgam, że ci żadnej krzywdy nie zrobię, do czego zresztą nie mam już sił. Wierzaj mi na Boga, przyjmij moją przysięgę i nie odmawiaj mi swego serca.

Ale mysz odpowie:

— Jakże ja mam wierzyć przysiędze kogoś, pomiędzy kim a mną istnieje głęboko zakorzeniona wrogość, i kto zwykł być względem mnie zdrajcą? Gdyby nasza nieprzyjaźń nie leżała po prostu we krwi, to rzecz inna, ale to jest właśnie przyrodzona wrogość pomiędzy dwiema duszami. A powiedziano jest: Kto zaufa wrogowi swemu, ten podobien do kogoś, ktoby rękę wkładał w paszczę jadowitej zmi.

Co słysząc, kot odparł gniewnie:

— Czuję ból w piersiach i słabość w duszy; leżę dogorywający w lesie, u twoich drzwi, i będzie ciążyła na tobie za to odpowiedzialność, gdy mogąc, nie ratujesz mnie w tej nędzy. I to jest moje ostatnie słowo.

Wtedy mysz uczuła w sercu miłosierdzie i tak rzekła sama do siebie: Kto chce znaleźć u Boga pomoc przeciwko wrogowi, ten niech się nad nim lituje i świadczy mu dobro. Powierzę się więc i ja Bogu, uwolnię z opresyi kota, a mo-

że mię Bóg za to wynagrodzi. To myśląc, mysz wylazła z nory i, ujawszy kota za łapę, wciągnęła go do siebie. Tam kot, niedługo pobywszy, wypoczął; trochę mu się zrobiło lepiej, i zaczął narzekać na swój brak sił i na brak przyjaciół. Dobra mysz pocieszała go i zakrzętała się, aby mu czemś usłużyć, ale gdy chciała wyjść, kot uprzedził jej zamiar i umieścił się przy otworze nory tak, aby jej uniemożliwić ucieczkę. A kiedy mysz chcąc wyjść, zbliżyła się do kota, kot złapał ją w pazury, potem ją raz i drugi rzucił na ziemię, brał ją w pysk i znowu rzucał, przyczajał się i znów przypadał i wszelkimi sposobami się nad myszą znęcał.

Mysz zaczęła wzywać pomocy, błagać Boga o wolność i wymyślać na kota:

— Gdzie jest ten sojusz, któryś mi ofiarowywał? Gdzież przysięgi, któreś mi składał? Takież to nagroda za moją ufność, za to, że ci moje gniazdo było przytułkiem? O jakże słusznie powiedziano jest: „Kto wierzy przysiędze swego

wroga, ten wyrzeka się ratunku“. Również słusznem jest zdanie: „Kto zaufał swemu wrogowi, ten wart jest zguby“. Jakkolwiekbądź jednak, pokładam nadzieję w Stwórcy, że mię od ciebie uratuje.

Gdy tak mówiła mysz, a kot już się szykował rzucić na nią ostatecznie i pożreć, nadarzył się myśliwiec, który przechodził tamtędy z psami. Jeden z psów usłyszał wielki jakiś hałas w norze i pomyślał, że może to lis tak coś tam wyprawia; to pomyślawszy, wpełzł do nory, aby go złapać. Gdy natrafił na kota z myszą, wyciągnął je z jamy. Kot, widząc się w mocy psiej, wypuścił mysz całą jeszcze, ale jego samego pies za kark łaps, zagryzł i precz odrzucił.

I tak sprawdziło się na nich to, co powiedziano jest: „Kto miłosiernie postąpił, z tym postąpią też miłosiernie; kto uciska, ten będzie uciśniony“.

Oto jest bajka o kocie i myszy. Niechaj, przeczytawszy ją, nikt nie zrywa sojuszu z tymi, którzy mu zaufali; bo

kto łamie zaprzysiężoną zgodę i zdradza, z tym będzie, jak z owym kotem. Tak jak kto sądzi, tak sądzony będzie, a kto czyni dobro, ten dobro w nagrodę otrzyma.





PAJĄK I MUCHA.

*Jak pośród ludzi,
Tak samo w przyrodzie,
Bo wszyscy jednym jesteśmy światkiem —
Rzecz która świetnym pozorem ludzi,
Zdradną zasadzkę kryje, bezlitosna.*

*Raz byłem świadkiem,
Jak w pewnym ogrodzie,
Kiedy już wiosna
Zaczęła pięścić się z młodym kwiatkiem,
Obcałowywać go swemi podmuchy, —
Bandyta pająk tęczową siatkę
Na kwiatach osnuł i czekał na muchy.*

*Rój much w wiosennym hasał powiewie.
Mucha — cóż? — nie wie,
Że tam się czai zdrada niegodziwa,
W tej sieci, w której z tęcz niteczek krocie
Lśniły przedziwa.*



*Muchy nie żyją w rodziców pieszczocie;
 Rad im nie dają ni bony, ni ciocie:
 Gdy coś pięknego ujrzy taka muszka,
 Co nęci blaskiem drogiego kamuszka,
 Leci na ponętę
 I wpada w sieci chytrze pociągnięte
 Kolorem tęczy.*

*Jedną z tych muszek schwyconą za skrzydła
 Usłyszał pająk, że mu w siatce brzęczy.
 — A, tuś mi! — krzyknął — szkodnico obrzydła,
 Napiętnowana płochością, niestatkim,
 Znana z łakomstwa; z próżniaczej wady!
 Bzyka to, gzi się, wałęsa i błąka,
 Psując mi siatkę.
 Że też to bywają takie owady! — —
 — Ależ przepraszam pana pająka —
 Tu mucha jąka —
 Za co tak srodze
 Pan na mnie krzyczy?
 Siatka tak lśniła na mojej drodze,
 Myślałam, że to skrzydełko siostrzycy:
 Oto przyczyna.*

*— Nie opowiadaj kłamstw po próżnicy!
 Twoja to wina,
 Że nie wiesz, co to jest pajęczyna — — —
 To rzekłszy, pająk, schwycił muchę w łapki,
 Zdusił ostatnie jej trwożne brzęczenie,
 Wyssał, i z biednej zostawił ochłapki.*



*Takie jest każdej muchy przeznaczenie,
O moi drodzy.*

*Muchę owadzi wychował zaścianek,
Muchami rządzi wiatru poruszenie,
Mucha nie umie utrzymać na wodzy
Swoich zachcianek.*

*Lecą natychmiast tam, gdzie je coś ludzi
Błyskotliwością w barwie, czy w urodzie,
Klejnotu lśnieniem albo słówkiem gładkiem,
Tak jest w przyrodzie,
I tak jest wśród ludzi:
Bo wszyscy jednym jesteśmy tu światkiem.*







SIESTA.

Przez wzgląd na ustaloną dobrą renomę i swój podeszły wiek, Sokrates, cierpiący na podagrę buldog, został wpuszczony do mieszkania i spał przed kominkiem. Kiedy od głowien prysnęła iskra, pies zrywał się i spoglądał podejrzliwie na ogień. Tego rodzaju rzeczy zgoła nie powinny być dozwolane, jakkolwiek z drugiej strony zadzierać z ogniem byłoby sprawą beznadziejną. Sokrates przyglądał mu się jakiś czas z głębokim smętkiem i uznał, że najwłaściwiej będzie w danym wypadku położyć się znów i zamknąć oczy.

Już prawie usypiał, gdy jakiś pieśczośliwy głos kobiety na górze jął wołać:

— Koteczku, nie uciekaj że! Chodź, Milutku, dostaniesz mleczka.

I piękny kot perski zbiegł szybko po schodach, z taką miną, jakby mu się udało od kogoś wymknąć. — Gdy był już na dole, zatrzymał się, obejrzał wokoło i zgrabnym ruchem podszedł do ognia.

Sokrates zajmował swoją osobą cały prawie przedkominek i już właśnie pochrapywał. Kot grzecznie dotknął go łapką. Pies ocknął się i odrazu zrobił mu miejsce.

— Daruj mi—rzekł. — Ledwie zmrużył powieki. Rzadko mi się to zdarza w dzień, ale mnie ten ogień rozebrał. Co słyhać?

— Śmiertelne nudy — rzekł Milutek — potężnie ziewając. Pięć panien, i każda chce mieć mnie w swoich fałdach; każda chce mnie podrapać za uchem i posłuchać jak mruczę; każda chce mnie złapać i pocałować. Umknąłem, a teraz wołają za mną, że jest mleko.

Milutek błysnął okiem pogardliwie.

— Czy jesteś aby pewny, że niema tam mleka?

— Niema nigdy, na całym świecie niema nigdy mleka o trzeciej po południu. Gdyby tak z godzinę później, to możeby warto było temu wierzyć. Choć zresztą wszystkie te ceckania takie strasznie nudne. Czy nie znajdujesz tego?

Kot tak mówił, choć czuł, że pies tego nie znajduje.

— Ja stosunkowo nie mogę się na ich nadmiar uskarżać — wyrzekł Sokrates melancholijnie. Mój pan nie uznaje pieszczot. Woła na mnie, o ile chce mi coś rozkazać.

— A jeżeli tego nie zrobisz?

— To się nie zdarza. Przed dwoma laty było coś takiego, z powodu żem pogryzł pewnego psa owczarskiego. Pan wówczas wziął mnie za nos, potrząsnął mną i odepchnął mnie precz.

— Dlaczegożes go nie ukąsił? Przecież to równie łatwo mogłeś zrobić z nim, jak z psem owczarskim?

Sokrates odmienił przedmiot rozmowy.

— Pan był zadowolony, gdym dostał pierwszą nagrodę na wystawie psiej. A gdym potem zachorował, to prawie, że doszło do pieszczot. Czasami chciałbym znowu chorować. Ale naogół to pan niezbyt się mną zajmuje, chyba, gdy mi daje jaki rozkaz.

— Najgorsi — to obcy — rzekł kot, przechwalając się. — Gdy tylko mnie ujrzą, zaraz krzyczą: „Ach, jakież piękny!“ i chcą się obchodzić zaraz tak ze mną, jakbyśmy się znali całe życie. Czyż to nie nuda?

— Ja tam na to się nie skarżę. A do prawdy, chciałbym. Podczas wystawy mówiono o mnie pochlebnie, ale bez dotykania mnie i w sposób ogólnikowy. Zdaje się, że szkodzi mi mój wygląd. Czy nie?

Kot zlekka się zakłopotał, co psu odpowiedzieć.

— Musimy być sądzeni — rzekł — według naszego wyglądu. Ja sam z początku miałem pewne ku tobie uprzedzenie.

Masz powierzchowność, że tak powiem, zbyt zdecydowaną.

— To piętno, właściwe mojej rasie — rzekł Sokrates. — Pominąwszy wypadek z owczarkiem, któryby może coś mógł mi zarzucić, to charakter mój jest najlepszy w świecie. A nawet dzieci (z którymi takbym się umiał bawić) uciekają odemnie, krzycząc i zwracając się z przyjaźniami do foksterierów, choć te gryzą je. Któregoś dnia wyglądałem z bramy, gdy właśnie przejeżdżała cyklistka. Spojrzy na mnie, a w tem zdarzyło mi się kaszlnąć zupełnie nie umyślnie. Potknęła się o ławkę przydrożną i spadła. Coś, podobnie niemiłego, zdarza mi się często, gdy próbuję zawrzeć przyjaźń z kobietą, albo i z mężczyzną nawet. Proboszcz naprzykład. Wie doskonale, że bym go nie ruszył, a czegoś się boi zawsze. Póki jestem w pokoju, zwraca się do mnie, co pewien, równo odmierzony czas, mówiąc: „Dobry, dobry pies“. Zupełnie, jak na kazaniu. A gdy podchodzę ku niemu, wtedy on wstaje i jest

taki biedny, ze swoją skłopotaną miną. Ja wiem, że niech tylko się oddalę, on wzdycha z ulgą. Jest mi nad wyraz przykro, że muszę mieć te towarzyskie skłonności, gdy mój wygląd mówi przeciw mnie. Chyba się zgodzisz, że to mój wygląd tak działa?

— Ależ, to doskonale — rzekł kot. — Nie przyciągasz ludzi tak, jak ja, i bardzo ci tego winszuję. Jesteś równie tłusty, jak ja, a nie musisz za to znosić różnych poniżających karesów.

— Rzecz cała w tem — rzekł Sokrates sentencyjonalnie, — że potrzeba nam tego, czego nam brak. Kto do siebie ludzi ciągnie, ten o nich nie dba. Kto chce być przyciągającym, nie jest nim. To nieznośna rzecz, ale cóż, nie umiem na to nic poradzić.

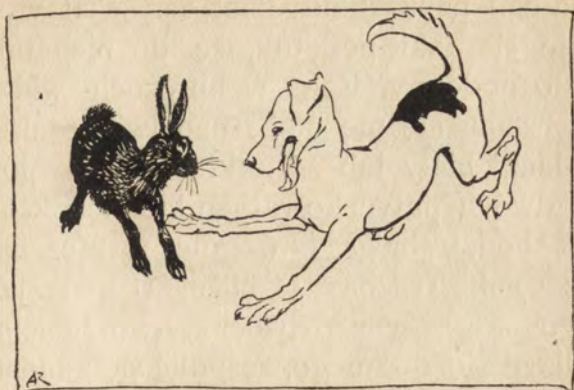
Tu Sokratesowi zdawało się rzeczą właściwą zacząć drzemać znów; po chwili zerwał się, widać poruszony myślą o możliwem sprawieniu lania jakiemu nowemu psu owczarskiemu i zasnął ponownie.

A kot również zaczął usypiać leciutko. Wtem zbudził go szczęk filiżanek tam, na górze. Wstał, przeciągnął się i pokroczył na schody. Może go tam znowu będą nudzili, ale cóż? — tam jest mleko.

Sokrates spał, mając na obliczu najbardziej krwiożerczy swój wyraz.







PIERWSZE MORDERSTWO.

Młody Foks wyszedł z nami na spacer w pole.

Był to śliczny, zgrabny, biały piesek, którego sumienie psie nie dźwigało na sobie aż dotąd żadnych większych zbrodni, oprócz zaduszenia kilku kurcząt, i w dodatku zaduszenia ich bynajmniej nie przez krwiożerczość, tylko przez czystą chęć życia-poznawczą.

To, co do nas najmniej podobne, to wzbudza naszą największą ciekawość.

Dlatego naprzykład dzieciom świat wydaje się taki ponętny, że do nich tak mało podobny. Foks w kurczęciu widzi to, czemu się nie może nadziwić. Jakiś maleńki biały lub żółty kłębuszek z piór na dwóch patyczkowatych łapkach, który chodzi, biega i wogóle jest czemś żyjącem! Trzeba to bliżej rozpatrzeć, zżyć się z tem dziwnem stworzeniem, zbliżyć się do niego, zespolić się z niem.

— Pójdź tu, kurczątko moje, nie bój się... A, uciekasz? Poczekajże!

I kurczątko rzeczywiście oczekiwało, ale w młodych, żeru, czyli poznania chciwych ząbkach Foksa.

Że ta pożerczość była jedynie poznawczą, dowodził sposób zachowania się Foksa po tym morderczym uczynku. Mianowicie z uduszonym kurczęciem w mordce wbiegał do pokoju, spoglądał pani albo panu w oczy i chępliwie merdał ogonkiem. Tak, jakby czuł się dumnym z poznania czegoś nowego, zupełnie jak dziecko po powrocie ze szkoły chwali się nowozdobytą wiedzą, przypuścmy

o tem, że ziemia jest okrągła. Bo gdyby Foks tylko dla żeru kurczę dusił, to bez żadnych przechwałek zżarłby je co prędzej gdzie w kącie, jak to robi już pies doświadczony.

Na tę namiętność poznawczą pieska jego państwo nie zapatrywało się życzliwie. Po wydobyciu mu ofiary z pyska, Foks był karcony i słownie i czynnie. Wysłuchiwał całego szeregu ostrych wymówek, póżem brał w skórę.

Brał, ale nie wiedział za co go biją. Zwał to na karb ograniczoności państwa i czuł się w swoim sumieniu psiem czysty. Wogóle, będąc psem, nie buntował się przeciwko dziwactwom natury ludzkiej, znosił karę i robił swoje.

Pewnego razu, dziś właśnie, zdarzyło mu się towarzyszyć nam, panom ludziom, na spacer. Podskakiwał to ku jednemu, to ku drugiemu z nas, brudząc nam łapami palta, liżąc nam ręce, skowycząc i objawiając wielką, prawdziwie psią uciechę z życia. Od nas biegł do spotykanych po drodze kundli chłop-



skich, zaczepiał je, gonił, gdy, nieusposobione do zabaw, śpieszyły za jakimiś sprawami; urządzał wtedy pościg za ptactwem, wracał zziajany do nas, biegł znowu i znów cwałował z powrotem, jak gdyby chcąc się przed nami popisać z nadmiaru swojej młodo-psiej werwy życiowej.

Naraz z pod jednego krza przydrożnego wyskoczył zając, nieduży i również, jak Foks, młody.

Foks, widząc jakiegoś nieznanego sobie dotąd czworonoga, ucieszył się najniezawodniej, że oto nareszcie jest ktoś, z kim można się będzie pobawić, i pomknął żywo ku zającowi.

Ale o ile młody pies za nowemi znajomościami goni, o tyle młody zając, a bodaj że i stary, od wszelkich nowych związków, poza sferą zajączą, ucieka. Psa normalny stan jest za czemś gonić; zająca — od czegoś uciekać.

Tak też i tu. Zaledwie pies ku niemu dał susa, gdy zając sromotnie podał tył i począł zygzakowato umykać.

Stanęliśmy, przypatrując się tej gonitwie. Jedna w nas strona, strona zwierzęca, życzyła sobie, aby wygrał pies; z drugiej strony, wrodzona nam ludzkość pragnęła, aby zając uciekł. Co do psa, to wiadomo: w psach niema tego wewnętrznego rozdwojenia, tego wyboru pomiędzy złem i dobrem. Foks czuł, że nadeszła chwila w jego życiu przelomowa. Raz trzeba pokazać, że się jest psem, inaczej gotowi go ogłosić za niedołęgę, za filozofa, który psem być nie wart. On musi dogonić zająca i koniec.

Widzieliśmy, jak przez jakiś czas migał po polu biały Foksa tułów, a przed nim wił się szarak.

Aż nagle gonitwa ustała. Foks zabielał nieruchomo w dalekiem polu, i najwidoczniej coś tam się ważnego musiało stać. Odbyło się widać zakończenie dramatu, jakie, łatwo nam to było sobie wyobrazić.

Foks, goniąc zająca, czekał tuż za nim i jakby wołał: A zatrzymajże się, ty głupi, toć ci nic nie zro-



bię złego, chcę się tylko z tobą zapoznać!

Ale zającowi nie jest dana ufność w psi ród. Zamiast się zatrzymać i grzecznie, ale z mężną postawą rzec: Oto jestem, czego pan sobie życzysz? — zając przyspieszał kroku tembardziej, im pies natarczywiej nastawał mu na pięty. Ta nietowarzystwość zajęcza rozzłościła psa tak, że zdwoił energię, dopadł tyłu ofiary, wyrwał stamtąd kłak turzycy, a następnie zrównał się ze ściganym, ucapił go za kark i, chcąc go zatrzymać, udusił.

Po dokonaniu tego czynu, Foks zdziwił się sam i nie wiedział co dalej robić. Poznał życie zająca po psiemu, to znaczy unieruchomił je, uśmiercił. Gonił oto za czemś żywym, a znalazł coś martwego. Poznawczy jego organ — zęby dały mu poznać nie to, co przedstawiało mu się tak ciekawem i poznania wartem. Leży teraz przed nim jakaś szara, podobna do zwitka kłaków, zwierzyna, z której życie gdzieś uleciało. Może weszło w psa, a może rozproszyło się po polu. Tą nie-

wiadomością, tą tajemnicą zdrętwiony, Foks stał i bezradnie na martwego zającą patrzył.

Z pola, od ludzi kopiących kartofle przybiegł do nas chłopak, z daleka potrząsając w ręce martwym zającem, którego pies zdrętwiały wziąć sobie pozwolił. Podszedł teraz za chłopcem ku nam i zajął postawę wyczekującą. Przypomniał sobie może wnyki, otrzymywane za mord kurcząt, spodziewał się może lania większego, ponieważ zamordował teraz stworzenie od kurczęcia większe. Ha, znieść trzeba i to: widać życie zasadza się na tem, aby mocniejszy bił słabszego. On zabił zającą, jego bije człowiek: tak widać być musi.

Z tą myślą Foks przyczołgał się do buta swego pana i czekał chłosty.

Ale o dziwo! Pan nie tylko, że go nie uderzył, lecz jeszcze go pieszczotliwie jął klepać i głaskać.

— Dobry, dobry piesek. Tak to lubię. I pani cię pochwali, bo dzięki tobie bę-

dzie do stołu świeży pasztet. Dobry, dobry Foksik!

Pies był zdumiony. Jakto? Za zabicie zająca nie tylko, że nie ma kary, jak za zgładzanie kurcząt, ale jeszcze obdarzają go, mordercę, pieścizotami! Świat się kończy! A więc to takie jest życie? taki jest człowiek? Jużem, pies myślał, że każde morderstwo żyjącego stworzenia jest uważane za zło i laniem karane. A teraz dowiaduję się czegoś nowego, czegoś niebywałego: mianowicie, że są dla ludzi pewne morderstwa dobre, chwalebne! O jakże mi się życie zaczyna od tej chwili podobać!

Gdyby pies był traktowany przez człowieka jednakowo, tak za zabicie kurczęcica, jak i zająca, to w końcu pies nauczyłby się może nie być psem. Ale w interesie człowieka nie leży to psie umoralnienie, gdyż w takim razie człowiek musiałby żyć bez pasztetu. A cóż warte byłoby życie bez tego smakołyku, powiedzcie sami? Bądź więc, psie, psem, ażeby czło-

wiek mógł żyć po ludzku i po ludzku wogóle jadać.

O ile przedtem, gdy tylko dusił kurczęta, Foks był lekkomyślny i młodzieńczykowaty, o tyle po zabójstwie pierwszego zająca zmężniał, spoważniał, stał się prawdziwym psem. Oko mu zabłysło żywiej, inteligentniej i śmieiej. Poznał pies swoją psią wartość i poczuł swój nieodzownie ścisły związek z pasztetozernym człowiekiem.

I jeszcze jedna zaszła w psie zmiana. Poprzednio człowiek był dla niego instancją najwyższą. Ponad człowieka nie znał nic, nic wyższego.

Ale, kiedy rzucono mu na odprawę do pożarcia uszy zamordowanego przez siebie i przez kucharkę odartego ze skóry zająca, i kiedy chcieliśmy mu, my ludzie, dla żartu, uszy te odebrać, rzucał się na nas, jak wściekły, i byłby nas pogryzł niezawodnie, gdybyśmy naprawdę chcieli go tego trofeum pozbawić. Nawet na swoją dziedziczkę a naszą miłą gospodynię głucho zawarczał, dając tem

znać, że odtąd panem dla niego najwyższym jest żer. I biada człowiekowi, który mu go będzie chciał odebrać.



4207